



Nowy Teatr

MIEJSKA POWIEŚĆ ODCINKOWA

12 stycznia 2009
Warszawa-Kraków-
Bytom-Wrocław-
Poznań

ŁUKASZ ORBITOWSKI
Odcinek numer

1

MPO

Miejska Powieść Odcinkowa (MPO) to inicjatywa literacka Nowego Teatru w Warszawie, który buduje centrum kulturalne w dawnej bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania na Mokotowie. Wspólnie z Korporacją Ha!art i Kulturą Gniewu będziemy przez dwanaście tygodni dostarczać wam kolejne odcinki horroru miejskiego. Każdy autorstwa innego pisarza. Szukajcie nas w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Wrocławiu i Poznaniu, słuchajcie w Trójce, czytajcie na stronie www.nowyteatr.org

wydawcy:
Nowy Teatr
Korporacja Ha!art

patroni medialni:

korporacja ha!art
wszystko, co się nie opłaca

gazeta

KG
kultura
gniewu

Gazeta.pl

Trójka
KULURA RĄDO

EXKLUSIV

Warszawa przywitała Tomasza smrodem. Skręcił z ruchomych schodów i zagłębił się w labirynt przejścia podziemnego. Wędrował tędy co tydzień przez całe lata, nie zdołał jednak zapamiętać drogi, umiał się za to na nią złościć. Po trzech godzinach spędzonych w bezdymnym Intercity od papierosa dzielił go jedynie dworzec. Przyspieszył, przemknął po powierzchni – nad Pekinem wisiały smutne, sine chmury – by zagłębić się na powrót w przejściu, już z lucky strikiem w gębie.

Rozgałęzienia, kazamaty, korytarze w podziemiach koło Dworca Centralnego pozostawały dla Tomasza tajemnicą, znał za to świetnie układ sklepów i budek: księgarenka z komiksami i świerszczykami, dalej kebab i sklep z odżywkami dla bezkarkowców. Poczuł ukłucie niepokoju, nie wiedział jednak dlaczego.

Przystanął i rozejrzał się, ale nie zauważył niczego niezwykłego, ot, pospolita szarość ścian i ludzi, farbowane kwiaty po lewej, w końcu korytarza atrapa mięsa wciśnięta między stare bułki. Miesza ci się we łbie, to wszystko – pomyślał Tomasz i zobaczył, że kwiaty schną i czernieją jak na przyspieszonym filmie.

Trwało to może kilkadziesiąt sekund: pęk róż, czerwieniejący na wystawie kwiaciarni, zaczął się kurczyć i ciemnieć. Jeden za drugim pospadały wszystkie liście, a sam kwiat przemienił się w czarną kulę wielkości orzecha. W ślad za różami także inne kwiaty zaczęły usychać. Kwiaciarka zdawała się tego nie widzieć, zaabsorbowana wstrząsającymi doniesieniami prasy kolorowej, Tomasz za to patrzył osłupiały, aż uznał, że już nie może.

Zatrzymał się jakieś sto metrów za kwiaciarnią. Dysząc z czołem przyciśniętym do szyby, tłumaczył sobie, że wszystko, co widział, było jedynie złudzeniem. Głowy ludzi są słabe, jego także, nie tylko do wódki. Oderwał czoło od witryny sklepowej, wziął głęboki oddech. Powietrze zastygło w jego płucach. Wypuścił je ze świstem dopiero po długiej chwili.

Na wystawie saloniku prasowego leżały te same tytuły co zwykle, z tymi samymi ludźmi co zwykle, Tomasz zauważył jednak istotną przemianę. Ryzy premier zachował rysy twarzy, miał jednak co najmniej osiemdziesiątkę i obwisłe policzki, poprzecinane fioletowymi, usychającymi żyłami. W miejscu nosa prezydenta ziała natomiast robaczywa dziura. Matka zamiast słodkich bliźniaczków trzymała w wózku dwa wytrzeszczone trupy.

Tomasz odbił się od szyby, wpadł na potężną czterdziestolatkę, mordującą się z wypełnioną ekologiczną torbą, coś jęknął, świat zawirował mu przed oczami. Przyłożył rękę do czoła. Wtedy zobaczył ich po raz pierwszy. Wyłaniali się z korytarzy, sklepów, spływali z sufitów, złowrodzy i bezgłośni; ich twarze pozbawione były oczu, ciała nóg. Duchy całej Warszawy wmieszały się w tłum żyjących.

Żołnierze w niemieckich hełmach przepasanych biało-czerwoną opaską, Żydzi w czarnych chałatach, królowie, żebracy, staruszki i księża, rycerze w pełnych zbrojach na szkieletach koni, kupcy, przemysłowcy w cylindrach i o złotych dłoniach, garbussy, olbrzymy z guzami mięśni i dziwki o czerwonych sutkach. Dzieci z ranami na głowach, a także współcześni: chudy biznesmen w drogim garniturze, ale za to z rozprutym brzuchem, ślepa kobiecina – pewnie handlarka, biskup. Ludzie mijali ich, nie zauważając, i tylko przerażony Tomasz wytrzeszczał oczy. W rzeczy samej – tylko on jeden budził zdziwienie: stał, pocił się, chciał krzyknąć, lecz nie mógł.

Zobaczył ducha dziewczynki, na oko siedmioletniej, szalenie smutnej, w nocnej koszuli; bosa stopy unosiły się nad ziemią. Podeszła do faceta w skórzanej kurtce, spróbowała chwycić za nogawkę i pociągnąć ku schodom. Nawet się nie obejrzał. Żołnierz w niemieckim hełmie z wielką raną w piersi próbował chwycić za rękę

przerośniętego licealistę w koszulce metalowego zespołu, ten, nie zwracając nań uwagi, polazł dalej ze słuchawkami w uszach, patrząc tępo przed siebie. Ksiądz z rozplatanym gardłem rozpaczliwie szarpał za sutannę żyjącego kolegę, ten zaś wykonał dziwny gest, jakby otrzepywał się z kurzu. Widma, jedno po drugim, dopadały żyjących, próbowały ich dokąś ciągnąć. Smutek i przerażenie malowały się na ich twarzach. Tomasz stwierdził nagle, że się nie boi.

Znienacka wyrosła przed nim dziewczyna z włosami spiętymi w kok. Długa rana ciągnęła się przez jej ciało od piersi aż do pępka. Uśmiechała się przepraszająco. Uśmiech ten był ponagląjący i Tomasz nie wiedział nawet, kiedy uchwycił jej dłoń. Nie była zimna, tylko dziwnie miękka, jakby ścisnęła rękawicę wypełnioną wodą. Dziewczyna pociągnęła go ku schodom. Przeskakiwał po dwa–trzy stopnie, aż wypadł na powierzchnię. Samochody stały w korkach na Alejach Jerozolimskich. Ściemniało się już, na Pekinie zapaliły się światła. Dziewczyna została w ciemności przejścia. Jej usta ułożyły się w bezgłośnie: „Idź, idź”.

Poszedł. Wszystko runęło w jednej chwili.

Minął przejście i rotundę, zagłębił się w wąskiej uliczki za KFC. Chciał przemyśleć to, co się stało, nad chmielem przy ulicy Chmielnej. Kiedy obrócił głowę, zobaczył, jak w trzasku i jęku stali oraz ludzi ściany budynku dworca zawaliły się i runęły w podziemia, a za nimi ugrzęzła betonowa przestrzeń Placu Defilad. Z dziur na Alejach Jerozolimskich uniósł się popiół i dym. Samochody zsuwały się w dół jak klocki, z pobliskich wieżowców najpierw posypało się szkło, a później one same runęły w gruzy – ale tego Tomasz już nie widział.

Ziemia u jego stóp zaczęła drżeć. Nie dalej jak sto metrów od niego asfalt przecięła niczym żmija długa wyrwa, domy zaczęły upadać, a z okiem posypali się ludzie; nikt nie słyszał ich krzyku, bo właśnie w tej chwili eksplodowały kule Złotych Tarasów, jedna za drugą, odsłaniając na moment szkielety najeżone szkłem – już po chwili galeria zapadła się pod ziemię, otoczona kłębam dymu i ognia.

– To gaz – jęknął Tomasz – rury gazu, które szły pod Warszawą.

Na co tu czekać, pognał na oślep w Chmielną, odprowadzany przez ryk katastrofy, nie oglądał się już. Dopędził go straszliwy hałas, gorszy niż poprzednie, a zaraz za nim silny podmuch, który przewrócił go na ziemię. Tomasz przetoczył się na plecy, a następnie podniósł na łokciach i zobaczył, że Pekin, zawsze widoczny ponad budynkami, zniknął, zostawiwszy po sobie słup ciemnego pyłu.

Potem nastał moment ciszy, wypełniony niemal natychmiast przez wrzaski, płacz, gwizd syren i szum śmigieł helikopterów. Tomasz wstał i w tej samej chwili omal nie runął z powrotem. Jego kostka napuchła, miał zdartą skórę na plecach i drobinki szkła powbijane w policzki. Rozejrzał się, półprzytomny.

– On żyje! Żyje!

To dziewczyna, młoda i chyba ładna, tylko cała w pyłe, już była przy nim. Wyciągnęła dłoń, jakby chciała dotknąć jego twarzy, sprawdzić, czy Tomasz jest prawdziwy.

– Co tu się stało? – zapytała. – Widziałeś to? Jak to mogło... Jak mogło...

Niebo ciemniało nad Warszawą.